



Jisroel Rabon

BALUTY
POWIEŚĆ
O PRZEDMIEŚCIU

redakcja
Krystyna Radziszewska
Natalia Krynicka



BAŁUTY



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Jisroel Rabon

BAŁUTY

POWIEŚĆ O PRZEDMIEŚCIU

redakcja Krystyna Radziszewska, Natalia Krynicka
przy współpracy Izabeli Olejnik i Jacka Walickiego
przełożyły z jidysz
Natalia Krynicka i Izabela Olejnik

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Łódź 2016

Krystyna Radziszewska – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny
Instytut Filologii Germańskiej, 90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

Natalia Krynicka – Centrum Kultury Jidysz – Biblioteka Medema w
Paryżu 29 Rue du Château d'Eau, 75010 Paryż, Francja

Izabela Olejnik – Uniwersytet Wrocławski, Zakład Studiów Żydowskich
50-140 Wrocław, plac Nankiera 15

Jacek Walicki – Uniwersytet Łódzki, Centrum Badań Żydowskich
90-219 Łódź, ul. Kamińskiego 27a

Tytuł oryginału: *Balut: a roman fun a forsztot*

Podstawa przekładu: tekst opracowany przez Chone Shmeruka, opublikowany w piśmie
„Di Godene Kejt” w Tel Awiwie (1991–1993, numery 132–135)

RECENZENT

Magdalena Ruta

REDAKTOR INICJUJĄCY

Urszula Dzieciątkowska

REDAKTOR WYDAWNICTWA UL

Joanna Balcerak

SKŁAD I ŁAMANIE

Munda – Maciej Torz

PROJEKT OKŁADKI

Studio WW Witold Warzywoda

Na okładce wykorzystano zdjęcie ul. Wąskiej na Bałutach
z zasobów Archiwum Państwowego w Łodzi

Ilustracje 4–29 opublikowano dzięki uprzejmości Archiwum Państwowego w Łodzi

Publikacja finansowana w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki
nr 0078/NPRH2/H11/81/2012



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

© Copyright by Authors, Łódź 2016

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2016

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.07204.15.0.K

Ark. wyd. 8,2; ark. druk. 11,25

ISBN 978-83-8088-197-6

e-ISBN 978-83-8088-198-3

SŁOWO OD REDAKCJI

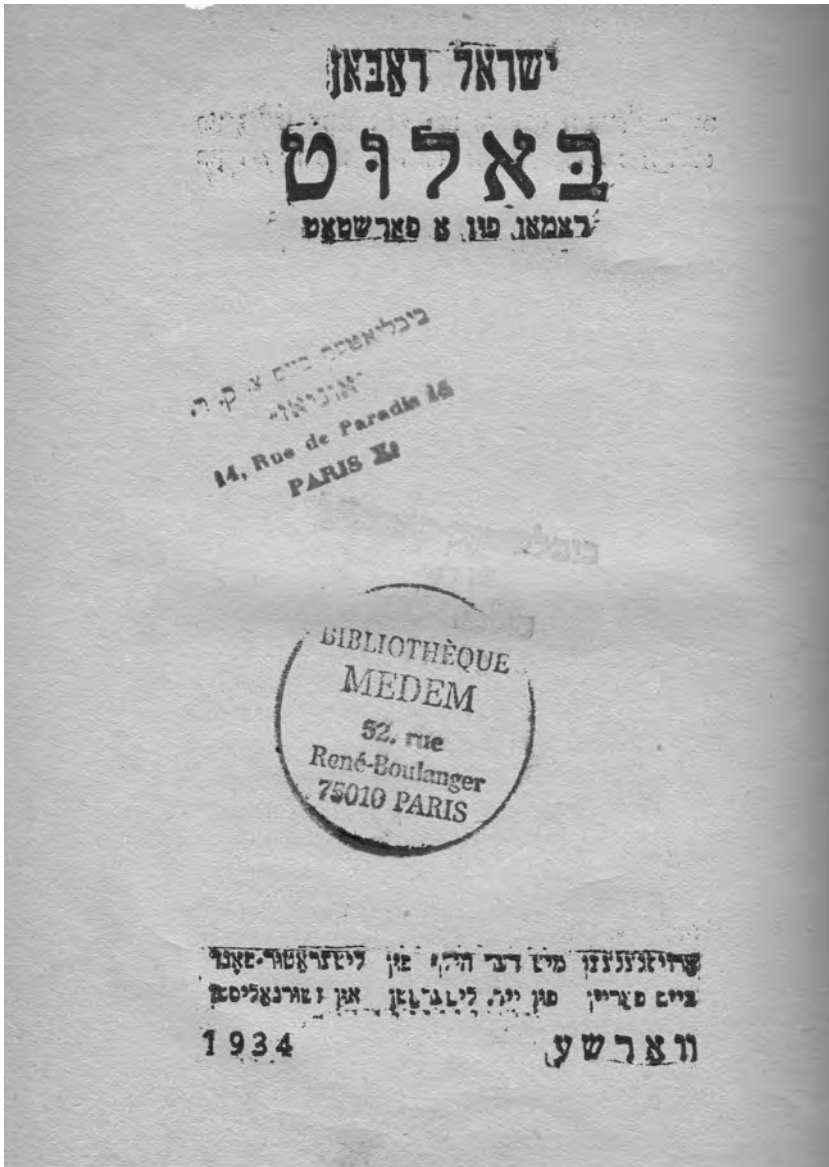
Oddajemy do rąk czytelnika pierwszy przekład na język polski niedokończonej powieści łódzkiego poety i prozaika Jisroela Rabona *Bałuty: powieść o przedmieściu* (tytuł w jidysz: *Balut: a roman fun a forsztot*). Oryginał, opatrzony adnotacją „tom pierwszy”, wydany przez Fundusz Literacki przy Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich, ukazał się w roku 1934 w Warszawie. Podstawą obecnego przekładu był tekst opracowany przez Chone Shmeruka, opublikowany w piśmie „Di Godene Kejt” w Tel Awiwie (numery 132–135, 1991–1993). Wstęp do powieści autorstwa Chone Shmeruka zamieszczamy na końcu książki.

Z kwerend przeprowadzonych przez redakcję wynika, że jest to drugi przekład tej powieści na świecie. W 2006 r. ukazało się w Paryżu francuskie tłumaczenie *Bałut* autorstwa Rachel Ertel.

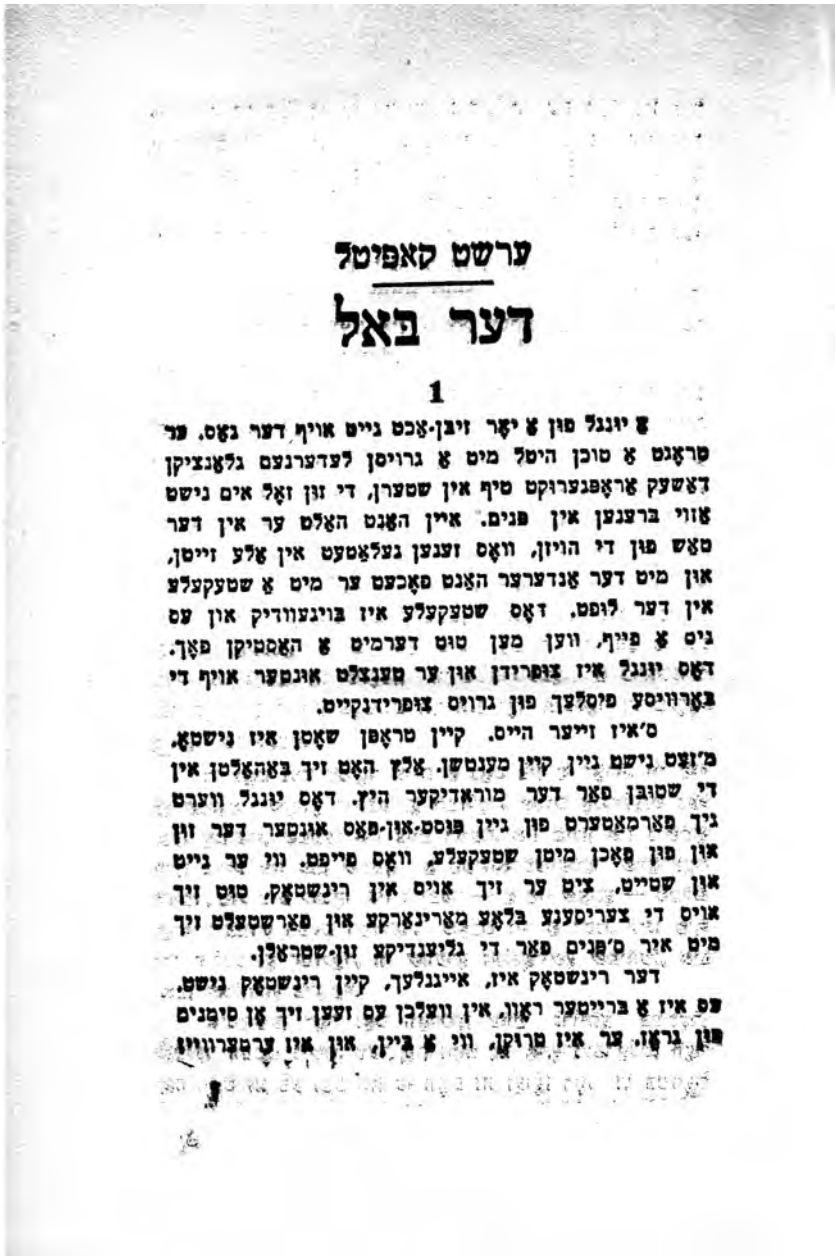
Jisroel Rabon był pisarzem przez niemal całe swe życie związanym z Łodzią. Dużo pisał o swoim rodzinnym mieście. Jednak dorobek tego utalentowanego żydowskiego twórcy, cenionego w ówczesnym świecie literackim, nie jest znany polskiemu czytelnikowi. W latach 90. XX w. przełożona została na język polski jedynie jego powieść *Ulica*.

Uzupełnieniem utworu Rabona są wspomnienia o jego twórcy autorstwa Jicchoka Janasowicza, dwie recenzje współczesnych Rabonowi literatów, Simche Szajewicza i Mojsze Grosmana oraz tekst poświęcony życiu i twórczości pisarza. Ponieważ akcja powieści rozgrywa się na ówczesnym przedmieściu Łodzi – Bałutach, uzupełnienie niniejszej publikacji stanowi źródłowe opracowanie historyczne przedstawiające realia tej dzielnicy w okresie, w którym dzieją się przedstawione w powieści wydarzenia.

Miasto Łódź jest bohaterem niewielu tekstów literackich. Powieść *Bałuty* Jisroela Rabona wzbogaca ten zbiór.



Il. 1. Strona tytułowa oryginalnego wydania powieści: J. Rabon, *Bałuty: powieść o przedmieściu*, Warszawa 1934



Il. 2. Początek pierwszego rozdziału oryginalnego wydania powieści: J. Rabon, *Bałuty: powieść o przedmieściu*, Warszawa 1934

BAŁUTY: POWIEŚĆ O PRZEDMIEŚCIU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BAL

Siedmio-ośmioletni chłopiec idzie ulicą. Ma na sobie płócienną czapkę z błyszczącym skórzanym daszkiem, naciągniętą mocno na czoło, by słońce nie paliło go w twarz. Jedną rękę trzyma w kieszeni połatanych spodni, drugą wymachuje w powietrzu patykiem, który świszczy przy każdym ruchu. Zadowolony, tańczy bosy z radości.

Słońce tak grzeje, że nie ma nawet kawałka cienia. Nie widać też ludzi, którzy przed upałem schowali się w domach. Chłopiec szybko męczy się bezcelowym przemierzaniem nagrzanej ulicy oraz machaniem świszczącym patykiem. Wyciąga się w rynsztoku, po czym zdejmuje podartą, niebieską marynarkę i zasłania nią twarz przed palącymi promieniami słońca.

Prawdę mówiąc, nie jest to żaden rynsztok, tylko szeroki rów, w którym kiedyś rosła trawa. Jest wysuszony, miejscami czarny niczym spalone drewno. Stale poniewierają się w nim odłamki glinianych garnków, kawałki gazet, pęknięte naczynia, połamane, zardzewiałe, bednarskie obręcze, stara słoma, gnój, podarte buty. Jest jednak dość szeroki, by człowiek mógł się w nim wygodnie wyciągnąć, jak na kanapie.

Chłopiec, który ma na imię Josl, wystawia na słońce bose, pokaleczone stopy i próbuje zasnąć.

Tymczasem w rynsztoku leży dwóch osobników ubranych jedynie w koszule i kalessy. Wyglądają jakby odpoczywali po kąpieli w rzece. Grube żołnierskie pasy spowijają brzuchy równomiernie unoszące się i opadające jak u śpiących, nażartych koni. Pot spływa im po czerwonych twarzach i leje się po nagich, owłosionych torsach. Muchy, robaki oraz insekty natychmiast obsiadły ich grube ręce oraz nagie stopy, ale oni niczego nie czują. Śpią jak zabici. Jedynie odgłosy chrapania wydostające się ze zdrowych płuc, rozchodzą się w pustą, senną ciszę.

Ulica wygląda jak wiejska droga. Niskie, drewniane, przylegające do siebie domki, stoją ustawione w dwóch rzędach. Między nimi nie ma ani chodników,

ani nawet kocich łbów. Czarny, twardy piach, pełen dziur i dołów – rodzaj szosy – przedziela oba rzędy domów. Gdy pada deszcz, drewniane domki, jak ciężkie żołnierskie buty, zanurzają się głęboko w błotnistej kałuży.

Pośrodku ulicy rosną dwa wielkie drzewa. Nikt nie wie, kto je tu sprowadził, kto je zasiał oraz po co tu rosną. Są wiecznie czarne. Niczym wypalone straszdyła patrzą smutno w niebo. Nie ma na nich nawet jednego listka, ani wiosną, ani latem. To nie drzewa, raczej drzewie trupy. Nikt nie ubolewa, że nie wydają liści. Na co to komu? Mimo wszystko z obu trupów (tak na nie mówią) jest dużo pożytku. Kobiety rozwieszają na nich pranie; gdy młodzi chłopcy kładą się w rynsztoku i grają w karty, swoje palta, kurtki i marynarki wieszają na drzewach; a kiedy wieje wiatr, wieszają się na nich kołdry, poduszki, prześcieradła, stare ubrania oraz worki pierza, by się przewietrzyły – nie trzeba ich wtedy trzepać.

Kiedyś podczas srogiej zimy cała uliczka Fajfra głodowała i zamarzała. Mieszkańcy zaczęli łamać gałęzie „trupów” i palić nimi w piecu. Rozpętała się awantura. Poruszeni tym faktem ludzie mówili: ponad sześćdziesiąt lat tu stoją i teraz co? Mielibyśmy je usunąć? Tak nie może być! Wtedy Herszl Buczik wziął kartkę i drukowanymi literami napisał: „Kto dotknie choćby gałąź – zostanie zabity. Z poważaniem, Herszl Buczik”. I przywiesił ją do drzewa. Potem jak pies czyhał na tego, kto odważy się odłamać choćby gałązkę. Zawsze bano się Herszla Buczika, więc drzewa pozostały nietknięte.

Josł nie może zasnąć jak te dwa typy, które leżą nieopodal niego. Jego blada, chuda, ziemista twarz jest cała spocona, a na dodatek od słońca rozboleła go głowa. Odechciało mu się już spać. Boi się, że prześpi „świętą”, które ma zacząć się lada chwila. Boi się, że jeśli zaśnie, znów ukradną mu świszczący patyk.

Wstaje i ponownie zaczyna spacerować po sennej, cichej ulicy.

Powoli ludzie zaczynają się budzić. Ciszę przerywa krzątająca dochożdząca z domów i stajni. Słychać otwieranie bramy, w której ukazują się młody chłopak z koniem. Ma na sobie tylko koszulę, stoi boso i przeciera oczy. Idzie napoić konia, który też jeszcze się nie rozbudził, ale na podwórku nie ma pompy, dlatego musi iść dalej. Miękką piaszczystą ziemią tłumi kroki konia. Znowu nic nie zakłóca ciszy.

Chłopak, trzymając w ręce lejce, mija po drodze śpiących w rowie mężczyzn. Wkłada dwa palce do ust, gwizdże głośno i krzyczy:

– Herszlu, Lejzerze, koniec spania... zaraz idziemy.

Zrywają się przestraszeni, rozglądają się otepiałym wzrokiem, strząsają grubymi rękami insekty i robaki z rozpiętych, nagich torsów, wstają i wkładają spodnie.

– Niech no tylko spojrzę, czy nie usmażyłem sobie tyłka w taki upał – mówi jeden z nich, oglądając się za siebie. Obaj są mokrzy od potu i wyglądają, jakby spali w wilgotnej stodole.

Młody chłopak, którego koń ma przyczepiony do boku drewniany cebrzyk, stoi przy bramie i rozmawia ze starym mężczyzną, ubranym w szabasowy alpagowy chałat. Tamten patrzy na stajennego z góry i mówi:

– Nie bierz więcej wody. Wystarczy! Już od dwóch tygodni nie zamiataleś mi podwórka, rewirowy już mi wypisał mandat. Oj, źle postąpiłem, polegając na tobie.

– Ale reb¹ Eli – prosi chłopak – ja nie jestem winny. Byłem w podróży. Przecież nie mogłem specjalnie przyjechać, by pozamiatać podwórze.

– Powinieneś był mi to powiedzieć. Wtedy nie czekałbym na ciebie.

Reb Eli jest niskim, chudym Żydem o twarzy gładkiej jak pergamin. Przy każdym wypowiedzianym słowie macha dziesięć razy rękami. Jest jednocześnie właścicielem domu i jego stróżem, by nie oddawać zarobionych pieniędzy gojowi. Poza tym jest najzwyczajniej w świecie skąpy. Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat dalej pracuje przy warsztacie tkackim jedenaście godzin dziennie, wyrabiając tanią tkaninę. O jego skąpstwie krążą przeróżne historie po całym przedmieściu, po całych Bałutach. A mimo wszystko cieszy się szacunkiem, bo po pierwsze, mówi się, że ma dużo pieniędzy; po drugie jest zawsze czysty, jego ubranie i wszystko u niego w domu lśni jak w lusterku; po trzecie ma syna, studenta, który studiuje w Kijowie i za tydzień-dwa ma wrócić jako lekarz.

Ten „tydzień-dwa” ciągnie się już wprawdzie od ośmiu lat, a student wciąż nie wraca jako lekarz, ale wszyscy tutaj wierzą, że wróci i będzie jedynym żydowskim lekarzem, którego wydały Bałuty. Ludzie rozmawiają o nim ze znajomymi i żałują, że studiuje w tak dziwnym kraju – Kijowie, że nie mogą go zobaczyć, powiedzieć „dzień dobry”, a nade wszystko pokazać światu, że tak marna i podła uliczka, która nie ma chodnika, ani nawet latarni, mogła wydać lekarza.

¹ Reb – tradycyjny tytuł grzecznościowy w jidysz, odpowiednik polskiego określenia „pan”.

Kiedy ludzie pytają Dwojrę, żonę reb Eliego, o syna w Kijowie:

– No, Dwojreniu², co robi wasz wielki syn w Kijowie? – ta zaczyna płakać i ze łzami w oczach zapewnia:

– Przyjedzie, przyjedzie, kochani ludzie.

Tak, ulica Fajfra – „Fajferówka” – jest przekonana, że on kiedyś przyjedzie jako lekarz. Jedynie jego własny ojciec, reb Eli, jest w tej kwestii niedowiarkiem. Zapytany, macha zrezygnowany ręką i ostro odpowiada:

– Co on robi? Wyrzuca w błoto moje pieniądze i jest na najlepszej drodze, by zostać starym kawalerem...

Ludzie słuchają zmartwieni, jak reb Eli wypowiada te kwaśne słowa i przyjmują je jak gorzką pigułkę. Są jednak pewni, że w końcu, któregoś dnia, syn powróci jako wielki człowiek.

– Reb Eli, dopuście mnie do pompy, koń marzy o łyku chłodnej wody – mówi stajenny. – Jutro o świcie przyjdę pozamiatać podwórze. Żebym tak zdrowy był. Możecie zostawić dla mnie miotłę w korytarzu.

– Nigdy nie dotrzymujesz słowa. Jak mogę ci teraz wierzyć? Przez ciebie dostałem mandat! A do tego taka hańba! Mandat za brak czystości na podwórzu reb Eliego!

– Obym zginął, jeśli ja was kiedyś oszukałem, reb Eli!

– Inni stajenni płacą do trzech kopiejek za tydzień, tylko dla ciebie zrobiłem wyjątek. Silny z ciebie chłopak, możesz odpracować te sześć kopiejek. A ty mi wykręciłeś taki numer.

– Reb Eli, miejcie litość nad zwierzęciem. Jesteście przecież szlachetnym człowiekiem. Spójrzcie tylko, mój koń liże już piasek. Chwieje się na nogach.

– Na nic ci się nie zda podlizywanie. Kto zapłaci za mnie karę trzech rubli, może ty?

– Policja może was zmusić, byście pozwolili mi napić konia – złości się chłopak.

– Może mnie zaprowadzisz do policmajstra³, co?

Reb Eli dalej kłóci się z chłopakiem, ale po tym, jak ten przysiągł, że przyjdzie punktualnie, warczy zły i w końcu dopuszcza go z drewnianym wiadrem do pompy.

² Dwojreniu – zdrobnienie od imienia Dwojre (nieżydowskim odpowiednikiem tego imienia jest imię Debora). W tym tekście, podobnie jak inne jidyszowe imiona żeńskie z końcówką „e”, spolszczone (Dwojra).

³ Policmajster – w Rosji carskiej komendant policji w dużym mieście i ewentualnie w jego okolicy. Władza łódzkiego policmajstra rozciągała się też na Bałuty.

Boczne uliczki coraz bardziej się ożywiają. Wielki zegar kościelny, widoczny z odległości mili, wybija godzinę trzecią. Ze wszystkich stron nadchodzą ludzie. Josł przygląda się im i robi mu się weselej. Idą młodzi chłopcy i dziewczęta. W rękach trzymają marynarki i buty, maszerują boso w samych koszulach. Słońce praży z tą samą siłą. Z bocznych uliczek napływają ludzie i skręcają w jedną długą i wąską ulicę, która ciągnie się daleko, het, aż na pola za Łodzią.

Jedną czy dwie wiorsty za miastem znajduje się kawałek pustego pola. Rósł tu kiedyś las. Wycięto go, a z drzew zrobiono belki i filary do budowy fabryk, które zaczęły wyrastać jedna po drugiej. Na pustym polu widać jeszcze pieńki i kloce, na których wypalono wiele inicjałów i imion, głównie męskich. Plac ten nazywa się Grabinka. Jest miejscem rozrywki, dokąd spływają teraz całe Bałuty. Obok placu rozlewa się rzeczka, która dziś, z powodu potwornego upału, jest na wpół wyschnięta jak kobieta w połogu.

Niedaleko stoi dziwna drewniana dwupiętrowa budowla. W jej okna wstawiono cienkie, żelazne kraty, szyby są brudne i zamglone od ciężkich oddechów. Otacza ją jak obręcz wysoki płot, zwieńczony drutem kolczastym i potłuczonym szkłem. Bezustannie dochodzi stamtąd niesamowite, dzięki szczekanie setek na wpół oszalałych psów.

Czy to więzienie? Nie, nie widać tu żadnego policjanta ani strażnika. Ta budowla to rzeźnia psów, które łapie się na ulicach Łodzi. Tam się je zabija, z ich skór wyrabia się futerka zwane „fokami grenlandzkimi”, zaś z tłuszczu – olej rycynowy do aptek.

Ogłuszające szczekanie setek złapanych psów, którym odcina się głowy stalową gilotyną, roznosi się po polach ze straszliwą, przejmującą żalnością.

Josł zbliża się do Grabinki. Jego uszu dochodzi skarga psów, które lada chwila czeka śmierć. Od tego wycia zaczyna drzeć, lzy napływają mu do gardła. Słyszy jak setki psów rozpaczliwie wołają:

– Joslu, chodź, ratuj nas!

Wydaje mu się, że kiedy podejdzie do nich, setki, może i tysiące psów skazanych na śmierć staną na tylnych łapach i zaczną płakać psimi łzami z radości, lizać go po rękach językami pokrytymi czerwoną krwią i białą pianą od rzucania się na grubo splecionym sznurze.

Josł zasłania uszy rękami, by nie słyszeć przeraźliwego wycia zwierząt błagających o życie.

Grabinka zapelnia się ludźmi. Młodzi chłopcy i dziewczyny rozsiadają się na pieńkach i suchej trawie. Wyjmują harmonijki i zaczynają grać „Hajda trojka” i tango. Kilka osób obdarzonych mocnym głosem śpiewa piosenkę. Ktoś z grubego sznura zrobił huśtawkę. Młody chłopak chwytą tęgą dziewczynę i zaczyna się z nią kołysać. Dziewczyna piszczy przy każdym mocniejszym ruchu. Chłopak śmieje się, przytula się do niej i kołysze jeszcze mocniej.

– Jento, a niech to cholera, polecimy do nieba!

Ludzie śmieją się grubiańsko, sprośnie. Wyciągają z kieszeni flaszki wódki i słuchają strzelających korków. Jeden z chłopaków opowiada o swoich wyczynach i co chwila bije się w piersi przysięgając, że nie kłamie. Każde uderzenie rozbrzmiewa, jakby ktoś siekał kapustę. Obok niego siedzą trzy zachwycone dziewczyny. Oczy im błyszczą z uciechy i co jakiś czas klepią go po plecach:

– A więc taką grandę zrobiłeś, Zanwele? A niech cię licha!

Wpychają mu do ust lepkie, brudne cukierki. Z ust wyciekają mu wódka oraz ślina wymieszana z rozpuszczonymi słodyczami. Świeża pomada na włosach zaczyna się rozplwać od upału i brudne strugi spływają z jego czoła i szyi. Dziewczyny wycierają mu brud z twarzy halkami, sukienkami, chusteczkami, z przyjemnością chłonąc jego słowa:

– ...chodzę tak po Pietruszce⁴ i widzę, że idzie pańcia z wyższych sfer. Rzucam okiem na jej cyferblat i już wiem, że będzie można ją opędzlować. Idzie przodem, ja za nią. Kręci tyłkiem i gapi się w niebo, czy nie będzie padać. A ja zapuszczam żurawia do jej torby i szukam forsy. Ale nic z tego. To ścierwo nie wyjmuję rąk z kieszeni. Jestem już pewny jak złoto, że ma tam pieniądze. Ale co zrobić, by dostać się do jej kieszeni?

– Panienko – mówię do niej – jakiś chłopak panienkę opluł – i sam pluję na jej ramię. Ona odwraca się i wyciera sobie ramię chusteczką, a ja wtedy wjeżdżam jej łapą do kieszeni i wymiatam ją do czysta...

Chłopak opowiada, a w jego oczach błyszczą iskiereki zadowolenia. Dziewczyny przysuwają się bliżej. Przyciskają do niego swoje grube, rozpalone ciała, tulą się. Chłopak leży rozwalony na trawie jak hrabia, z głową na piersi jednej z nich jak na miękkiej poduszce. Dziewczyna sapie, ciężko jest jej utrzymać jego głowę, ale z szacunku i uwielbienia milczy.

⁴ Pietruszka – potoczne określenie ul. Piotrkowskiej. W tym fragmencie tekstu oryginalnego autor umieszcza w nawiasach wyjaśnienia słów z gwary złodziejskiej.

Cały plac jest już pełen ludzi. Wszędzie głowy i czerwone twarze. Muskularne ramiona mężczyzn z podwiniętymi rękawami koszul wznoszą się ze szklankami i butelkami w dłoniach.

Przestrzeń wypełnia gwar rozmów rozchodzących się jak gęste, niewidoczne fale. Nieustannie trzaskają korki. Powietrze przesiąka potem ludzkich ciał, dymem z tysiąca papierosów, zapachem tanich perfum i pudru.

Pośrodku pola leży rozciągnięty Herszl Buczik, siłacz. Jest półnagi i mokry jak żaba od upału, wódki i gadania. Rozłożywszy swoje olbrzymie ciało, charczy jak astmatyk. Z tym swoim wielkim cielskiem wygląda jak wieloryb, którego morze wyrzuciło na brzeg podczas sztormu. Siedzi przy nim sześć kochanek. Znajdują się w niewielkim oddaleniu od niego, bo gdy zrobiło mu się gorąco, odepchnął je od siebie:

– Odsuńcie się, córki, bije od was gorąco jak z pieca.

Pod głowę ma podłożoną miękką poduszkę. Koło niego walają się puste butelki po kolorowej wódce. Kochanki zaczynają śpiewać. Jedna z nich, niska dziewczyna o małych, zwinnych stopach, podnosi się i tańczy. Na piersiach ma sznury srebrnych monet – rosyjskich, niemieckich, francuskich, a nawet tureckich i chińskich. Dzwoni tymi monetami, które ważą około puda⁵. Jej nogi rytmicznie poruszają się do taktu. Reszta dziewczyn patrzy na nią z zazdrością. Tańczy jakiś taniec, a co kilka obrotów wydaje głośny okrzyk. Chłopacy strzelają z bicza i machają do taktu świszczącymi gumowymi pejczami kozackimi i plecionymi szpicrutami. Tworzy się krąg. W jego środku jak król leży Herszl Buczik z kochankami, a tuż obok niego, z twarzą zwróconą w jego stronę, tańczy Zośka, tancerka. Nikogo nie widzi. Jej wzrok skierowany jest na niego. Co jakiś czas pochyla się nad nim i drobną dłonią czocho mu gęste włosy. Kiedy kończy tańczyć, rozlega się trzaskanie batów, pejczów i szpicrut. To mają być brawa. Ale ona nie patrzy na nikogo oprócz Herszla, swojego pana. Herszl ma jednak oczy półprzymknięte ze zmęczenia i upojenia. Wydaje z siebie niezadowolony pomruk i krzyczy:

– Szanta... szanta...

Ani słowa więcej.

– Szanta... szanta... – powtarzają inni z zadowoleniem.

Głowy poruszają się i powtarzają: szanta... szanta... I nagle błyska w słońcu dwadzieścia stalowych noży. To noże sprężynowe z czarnymi rękojeściami

⁵ Pud – rosyjska jednostka wagi, równa 16,38 kg.

mi. Czerń i biel. Tancerka kołyszącym krokiem, prawie na czubkach palców, podchodzi do każdego, bierze je z uprzejmym uśmiechem, całuje stalowe, błyszczące ostrze i wbija je w ziemię tak, aby utworzyły szeroki krąg. Potem wznosi namiętny, głośny okrzyk: Szanta... szanta..., zrzuca bluzkę, odsłaniając nagie, zgrabne piersi, i zaczyna taniec Apaczów. Szanta... szanta... Z impetem porusza nogami, wyciąga ręce, zaciska zęby. Przedstawia to zabijanie kogoś. Pochyla się, jej kolana drżą, robi błagalną minę jak ofiara, która prosi, by darowano jej życie. Potem wybucha gwałtownym, cynicznym, szyderczym śmiechem i znów wyrzuca wściekle ręce: nie ma litości!

Jej małe, opalone piersi kołyszą się lekko jak kolczyki. Z wyrazem słodczy zamyka oczy, pada na ziemię między wbite noże i zaczyna rzucać się rytmicznymi ruchami. Z wyrazem pożądania na twarzy, bezwstydnie rozsuwa nogi. Włosy ma rozrzucone, a jej nagie ciało, brązowe od słońca i czerwone od rozgrzanej krwi, błyszczący jak miedziany rondel.

Młodzi chłopcy pijanym wzrokiem pożerają jej nagie, zgrabne piersi, które kołyszą się jak jabłka na wietrze. Okrzyki zachwytu i tłumionego pożądania wyrrywają się z otwartych ust. Twarze chłopców robią się wilgotne jak pyski koni w przegrzanych stajniach. Oczy wylażą im z orbit, mięśnie napinają się i drżą. U wielu z nich widać języki kołyszące się w otwartych ustach jak u psów, które gonią za sukami. Zaślinione języki poruszają się w takt zuchwałego, lubieżnego tańca: szanta, szanta. Wszyscy tłoczą się w kole, w którym jeden czuje rozpalone ciało drugiego. Pochylają lekko głowy, jakby byli gotowi do ataku.

Herszl Buczik charczy coraz głośniej. Dziewczyna o grubych rękach rozgniata jabłko palcami i wyciska mu sok do ust. Wódka pali mu wewnętrżności. Już siedem dużych jabłek wycisnęła i wyrzuciła. Jakiś chłopiec wdziera się do kręgu, bierze wyrzucone jabłka i ucieka, chociaż nikt go nie goni, po czym zaczyna jeść.

Sok z jabłek chłodzi Herszla, ale odurza go jeszcze bardziej. Zaczyna wić się na ziemi jak ślimak, a płonącymi, zamglonymi od pijaństwa oczami wpija się w półnagą tancerkę. Czołga się, przypada jej do nóg, wydaje z siebie zachrypty, dziki ryk i nagle wgryza się w jej pulchną, zgrabną łydkę. Dziewczyna krzyczy z bólu i chwytą się za nogę, którą podnosi wysoko, chwiejąc się na drugiej. Pojawia się cienka stróżka krwi. Pijany Herszl Buczik ryczy z przyjemności, która rozchodzi się po całym jego mocarnym ciele. Pierś unosi się wyżej, twarz wykrzywia mu mieszanina okrucieństwa i słodczy. Włosy lepią się do jego niskiego czoła, a z płuc jak z pieca uderza oddech przez otwarte usta. Reszta